

# Jeszcze jeden dzień w raju

Aleksander Sowa



Nie czytaj tej książki, jeśli nie chcesz aby Twoja  
ulubiona **czerwona sukienka** była jeszcze czerwiejsza,  
nie czytaj jej jeśli na zawsze nie chcesz  
mnie znieawdzić.

# **jeszcze jeden dzień w raju**

Aleksander Sowa



© Copyright first edition by Artur Szulc 2007

© Copyright by Aleksander Sowa 2007

Okladka: Aleksander Sowa

Zdjęcia: [www.sxc.hu](http://www.sxc.hu)

Redakcja i korekta: Łukasz Mackiewicz –  
[eKorekta24.pl](http://eKorekta24.pl)

**ISBN: 978-83-272-4139-9**

--

Aleksander Sowa | Self-Publishing

[www.wydawca.net](http://www.wydawca.net)

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie,  
rozpowszechnianie części lub całości bez  
zgody wydawcy zabronione.**

Opole, grudzień 2013 r.

## 1.

Dworce są bardzo do siebie podobne. Budynki z czerwonej cegły, betonowe perony, żelazo torów i kabli; zimą gawrony, szprycerzy i bezdomni. Ale stojąca na peronie dziewczyna nie zastanawiała się nad tym. Myślała o zupełnie czym innym, odległym jak oceaniczne antypody. Z kontemplacji wyrwały ją słowa:

– Stacja Opole Główne, stacja Opole Główne.

Z holu dworca patrzyła na wyjście. Rzuciła nerwowe spojrzenie na kolejowy zegar, identyczny jak zegary na innych dworcach.

Jeszcze nie czas, jeszcze muszę poczekać – myślała. Stała na wschodnim krańcu peronu, w miejscu, z którego doskonale mogła wszystko obserwować, pozostając jednocześnie niewidoczną. Zapaliła papierosa i się zaciągnęła.

– Mógłbyś mnie poczęstować? A... Bardzo panienkę przepraszam... Nie zauważyłem.

Bezdomny, zupełnie niespeszony, że wziął ją za chłopaka, przyłożył zgrubiałą dłoń do popękanych ust i ciągnął dalej:

– Nie poczęstowałyby mnie pani papieroskiem? Skoro biegasz sobie dla zdrowia wieczorami, i tak ci ten papieroszek jest chyba niepotrzebny, a mnie przyda się bardziej – mamrotał, mieszając formy grzecznościowe.

– Zjeżdżaj – warknęła.

– O! Nie musisz być taka niegrzeczna, nic ci nie zrobiłem.

Zalatywało od niego alkoholem, odorem brudu, męskiego potu i moczu. Zemdlilo ją.

– Spierdalaj, mówię, bo zawołam sokistów! Nie rozumiesz? – wrzasnęła.

– A, rozumiem, rozumiem.

Bezdomny z niechęcią się odwrócił i machając obojętnie ręką, mruknął ni to do siebie, ni do niej:

– Nie musisz być taką suką! Chciałem tylko papierosa.

Dziewczynę rozdrażniło to jeszcze bardziej, ale się nie odezwała. Nie chciała, aby ktokolwiek ją teraz zobaczył. Spojrzała raz jeszcze na zegar i zatrzymała błękitne oczy na dużej wskazówce. Poczula nieprzyjemny dreszcz. Wieczór był chłodny. Przemarzła w sportowym stroju. Nie padało, a mimo to powietrze było ciężkie od wody. Przypominało tchnienie wodospadu. Mgła stopniowo gęstniała, rozmywając i wymazując kontury rzeczy bliższych, czyniła jednocześnie te dalsze nieistotnymi dla źrenic. Przyćmione światło dworcowych lamp rzuciło parasole upiornego blasku.

Wtem usłyszała kroki. Dochodziły od strony wejścia. Naciągnęła kaptur mocniej na głowę i skryła się za filarem. Mrugająca i żarząca się ostatkiem sił świetlówka co chwilę skrywała ją na kilka sekund w nieprzeniknionym mroku dworcowego zaułka.

Czyjeś stopy cichutko stukwały w posadzkę. Kobieta powoli zbliżyła się do krawędzi peronu. Wszystko szło

zgodnie z planem – sądziła. Miała wrażenie, że zastawiona przez nią pajęczna sieć powoli napręży się i za chwilę ugnie pod ciężarem ofiary.

Czekała na Brunona. Nieznajoma się nie liczyła. Nie liczyła się jej tożsamość, choć w istocie powinna. Nagle w ciszy zabrzmiały kolejne kroki. Ukryta za filarem Beatka spostrzegła cień idącego mężczyzny. Jej serce zabiło mocniej. Chociaż nie widziała twarzy, a jedynie zarys, natychmiast poznała mężczyznę. Przy najmniej tak jej się wydawało. To był Bruno.

Przywarła plecami do drewnianego filara, oddychając głęboko. Dziewczyna z peronu i Bruno tymczasem się zbliżyli. Nie tego się spodziewała. Targały nią zazdrość, złość, rozczarowanie i nagle, jak zastrzyk adrenaliny, chęć zemsty. Alkohol potęgował doznania. Wieczór wydawał się magiczny. Pusty dworzec, mokre od mgły, gęste i ciężkie powietrze. Wszystko sprawiało wrażenie snu.

Miała nadzieję, że Bruno nie przyjdzie, że będzie tu sama, ale... przyszedł i z kimś rozmawiał. Był inny, zresztą to teraz nieważne. Ważne, że przyszedł. Nigdy by tego nie zrobił, gdyby jego słowa były prawdziwe. Wiedziała to doskonale. Ta myśl rozrywała jej serce, jakby wypełnione było nieustannie wybuchającym dynamitem.

– Międzynarodowy pociąg relacji Kraków Główny – Berlin Zoo wjeżdża na tor pierwszy przy peronie drugim – oznajmił zapowiadacz. – Przy wjeździe pociągu...

Potrójne światło hamującej wprawdzie, ale nadjeżdżającej z ogromną prędkością lokomotywy elektrycznej zbliżało się z łoskotem. Gdy do jej uszu doszedł pisk i ziemia zadrżała, spojrziała na peron, dłużej się nie kryjąc. Stali kilka kroków od niej.

Zdrajca i jego suka – pomyślała. Złość targła nią jak burza. Alkohol mnożył doznania. Poczula, że narkotyki zaczyna działać. Zapadła się poniżej poziomu dworca. Poczula uderzenie masy powietrza, jakby ogromna, kilkudziesięciometrowej wysokości fala przewaliła się przez perony. Mgła odcięła wszystko, co było bez znaczenia. Zostali tylko ona i Bruno. I pociąg. Nagle czas się zatrzymał, jakby po wciśnięciu pauzy, i życie zamarło. Jedynie ona i pociąg mogą się poruszać w tej chwilowej czasoprzestrzeni – myślała. Zrobi to teraz. Szybko, po cichu. Tak, by nikt nie widział. We mgle.

– Tak, zrób to. – Usłyszała. – Na torach, na dworcu. Tam, gdzie nikt nie widzi. Jak we śnie. Teraz. Zanim czas znowu ruszy w pęd ku przyszłości, sprawy już nie będzie. Nie będzie istniała. Bez zbędnych emocji, bez wyboru, obojętnie, w końcu i tak to nieważne, bez hałasu, niczym ostrze losu. – Pulsowało, rozszadając czaszkę. – Zrób to. Tak, by zabić.

Beatka jak gepard wraz z hukiem wtaczającego się cielska lokomotywy runęła na nich. Pchnęła męczyzną wprost pod nadjeżdżającego kolosa. Obiema małymi dłońmi z rozwartymi palcami uderzyła w plecy i

by nie stać się ofiarą, równocześnie się odbiła. Wylądowała na płytach peronu.

Mężczyzna stracił równowagę. Wykonał jeszcze w powietrzu niepełny obrót, a zabójczyni ukazała się jego twarz. Teraz go poznała. W ułamku następnej sekundy w ciało na torach uderzyła rozpędzona lokomotywa.

Eksplodował czerwony kolor i odgłosy dworca zlały się w cichy, jednostajny dźwięk. Krew była wszędzie. Na niej. Na rękach, twarzy, we włosach. Zlepiała w ciężące jak cierniowa korona strąki. Czula krew na wargach i to, jak miesza się ze śliną i ścieka po brodzie. Była niczym rzeka płynąca wraz z pociągiem. Lawą z potrząskanej czaszki, trzewi, kończyn i płuc.

Nagle jej ciałem szarpnął dziki spazm. Wygięła się w nienaturalnej pozie i równie nienaturalny wrzask wydobył się z jej wnętrza, mieszając się z odgłosem hamującego składu. Dokonało się. Tak jak chciał los, wybierając ostrzem przeznaczenie, którego uniknąć nam się nie uda, choćbyśmy próbowali oszukiwać miłością, zemstą, zdradą czy namiętnością. Tak Bruno miał zginąć.

## 2.

Słowa te niech będą testamentem mojej miłości, mej duszy, pożogi lędzwi, grzechu, namiętności i żądz. Czy naprawdę są ludzie, którzy nie zasługują na kogoś, dla kogo będą jedyni w całym wszechświecie?



Na kogoś, dla kogo słowa i dotyk będzie najważniejszy? Na kogoś, kto będzie tęsknił za zapachem, smakiem i wibracjami strun głosowych?

– Należysz do tego typu istot, których nigdy nie będę miał dosyć – zwykł mówić o niej.

Była wyjątkowa. Gdybyście byli niewidomi, trzeba by znaleźć się w trzech miejscach, aby ją opisać. Po pierwsze, w lesie pachnącym deszczem – takiego koloru były jej oczy, gdy płakała. Potem nad morzem, w czasie sztormu, aby zrozumieć, jak patrzy, gdy w jej oczach jest wściekłość. I po trzecie, na pustyni, gdy zachodzi słońce, by dostrzec ogień, który palił się, gdy patrzyła z miłością. I gdyby na tej samej pustyni schylić się i nabrać ciepłego, spalonego słońcem piasku w dłonie, to przesypując go między palcami, można by poczuć kolor jej włosów. Kolor piaskowej burzy.

Taka była pierwszej nocy i taką chciałby ją na zawsze pozostać. Z dzikim spojrzeniem spod mokrych, niesfornych kosmyków, które przykleiły się do policzków i ust. Oczu, w które Bruno patrzył godzinami, by utonąć w nich jak marynarz w morskich odmętach. A on, patrząc w nie co dzień, nie wiedział, jakiego były koloru. Aż do ostatniego dnia.

– Jakiegoż bowiem koloru są oczy, kiedy mają barwę deszczu? – pytał.

Na jej ustach, one tak cudnie smakowały, milion słów wrytych jak przykazania. Słowa niepotrzebne, ważne, wielkie i małe... Tyle niewypowiedzianych, tyle wypowiedzianych spojrzeniem, gestem, dotykiem. Tyle

niepotrzebnych. Nocy spełnionych zapachem, zanim dotknął ją po raz pierwszy spojrzeniem bardziej gorącym od rozgrzanej lawy.

Była jak skała, o którą rozbijali się wędrowcy, choć chciała pokazać drogę w ciemnościach. Poprowadziła go jak dziewczynka starca, by zapłacił za przewóz Charonowi. On nie był starcem, ona nie była dziewczynką. Nie przepłynął Styksu. Nie, wtedy jeszcze nie, choć stał już u jego brzegu.

– Trzecia litera alfabetu, siódma, pierwsza, dwudziesta szósta i znów pierwsza. Moja Beatka. Mój Duszek. Moje wirtualne zauroczenie. Moja najcudowniejsza kochanka. Moje życie, mój grzech, mój ból w łądzwiach, pożoga, dusza i moja... niespełniona nadzieja. Beata. Beti. Atka i Bee – szeptał. – Taka bliska, daleka... Taka... nieprawdziwa? Czy to sen, czy śniłem? Czy była to prawda? – pytał. – Była rzeczywista czy moim marzeniem? Była, jest czy będzie?

Teraz wiem. Dziewczyna o Perłowych Włosach, pachnąca ciepłym, ożywym wiatrem namiętności jak bryza. Perlistowłosa. Duszek. W samych tylko skarpetkach, by ogrzać wiecznie zimne stopy. Z butelką wina Aszú z madziarskich winnic w dłoni. Oświetlona w półmroku ciepłym światłem świec. Smukłe palce, które wystukiwały na klawiaturze zakłęte w znaki słowa. Głos aksamitny i ciepły jak żar ognia w kominku. Ogromne, skryte za wachlarzem rzęs oczy. Namiętność, żądza, pożądanie, fascynacja, nienawiść, zazdrość i... miłość?

– Co wybrać, wysoki sędzie?

Tego strasznego dnia na ziemię nie przyszedł świt. Słońce nie weszło. Spało zmęczone na łonie głębokiego zielonego jeziora. Posmutniał tego ranka jak każdy, kto traci część siebie, gdy słońce nie wschodzi. Aż się zlitowała i usłyszał:

– Chodź, pokaż mi niebo.

I oto po dniach pełnych mroku nagle rozblysło światło jak piorun. Znow wszystko było takie jak dawniej, zielone i piękne. Ujrzał ją, najpiękniejszą kobietę na świecie, cudowną, wyjątkową, wspaniałą, i dziękował temu, kto ją stworzył – czy będzie to Bóg, Jahwe, Kriszna, Wisznu, czy ktokolwiek inny.

Stworzył Perlistowłosą wychodzącą z czystych wód Balatonu ze spienionych burzą fal. Woda spływała po jej opalanej skórze wielkimi jak lzy kroplami. W każdej na miliony lat zakłete było słońce i światło. Stapała po mokrej trawie. W dłoniach trzymała białe kamienie, wskazując wędrowcom drogę do domu. Był tego ranka zagubionym wędrowcem. Usiadła, by ogrzać stopy zimne od rosy żarem jego ciała. Położyła mu dłonie na oczach, by zapomniał o złym czasie, by zobaczył światło. Jej światło. Wtulila się w jego ciało jak puzzel, który tylko do niej pasuje spośród tysięcy, i głaskał ją, aby mogła zasnąć. Zabrał jej wszystkie niedobre sny, by mógł zostać sam z marzeniem. Śpiewając, ukolysał ją.